



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

PO LATACH.

Dotąd masz nademną władzę czarów!

Dotąd, moją duszę nigotliwą

Możesz sobie brać za gwiazd krzesiwo.

Dzisiaj, gdy sam szedłem ponad parów,

Między ślazem i czarnym tojadem,

Gdzie tak chętnie się w południe kładłem,

Gdzie nad czołem myślami pobladłem

Zioła chłodny wiją mi dyadem,

Gdzie mi śpiewa tylko puszcza głucha,

Harfa drzew i cyklamów kielichy,

Aż tam poszedł ze mną głos twój cichy

I jak gdyby smutny zgrzyt łańcucha...

Weżem sinym na kraj lasu spływa,

Gasi barwy, przygniata ziół kępy,

Wiatrom daje dźwięk żelazny, tępy,

Na Alp szczyty wtlacza swe ogniwa...

Tak iż część się mych zwykłych uniesień

Rozkruszyła na strzępy ze złota;

Dawna przy mnie stała tęsknota

I na serce opadła jak jesień.

* * *

Dotąd masz nademną dawną władzę!

W górę idę sam, gdzie śniegi kwitną,

Lecz na szczycie dla Ciebie osadzę

Mą chorągiew biało-aksamitną.

„Leon Płoszowski.”

Cesarzowa Elżbieta.

Rzadko kiedy życie urodzonych na tronie i do tronu przeznaczonych księżniczek płynie szlakiem poetycznej legendy, a tem mniej jeszcze unosi się na fali wezbranych wielkich uczuć, nadzwyczajnych wydarzeń i dramatycznych scen. Życie rodzinne i ceremonial dworski napełniają dni i lata, a na tem tle, jeśli zdarzają się wypadki niepospolitszego umysłu, to już bardzo rzadko kiedy zakwita uroczy kwiat artystycznej duszy, wrażliwej, czujnej i gotowej do wysokich uniesień i nadzwyczajnych wrażeń. Życie cesa-

rzowej Elżbiety było jedną ciągłą zajmującą powieścią, miało i swe akty straszego dramatu, a zakończyło się okropnym epilogiem tragedyi.

Młodziutka księżniczka z rodu Wittelsbachów, córka księcia Maksymiliana-Józefa bawarskiego, rozwijała się wśród otoczenia przyrody, pod wpływem ojca, miłośnika sztuk i nauk, w górskiej samotności, zdala od gwaru stolic i etykiety monarszej. Bardzo zdolna, tkliwa, otwarta, na progu młodości swej, zaledwie w 17-tym roku życia, spotkała się z potężnym żywiołem, który daje szczęście i rozstrzyga losy ludzkie — miłością. Młody cesarz austriacki Franciszek Józef ujrzał ją po raz pierwszy wracającą do domu ojca z dalekiej wycieczki, jeszcze zdyszana szybkim biegiem, w tych jej cudownych rozrzuconych włosach, z jaśniejącymi oczami, uśmiechniętą, lekką i rączą jak leśna Dyana i od razu pokochał — wzajemnie. Inna z księżniczek była mu przeznaczoną za żonę, ale ta — dziewczynka prawie, tyle znalazła w swem sercu uczucia i energii, że w chwili stanowczej wyrzekła głośno owo rozstrzygające dla nich obojga: „Franz, du bist mein!” i powstało małżeństwo z prawdziwej miłości, w którym żadna polityka nie była dziewoszlębem. Na tę piękną głowę włożono koronę cesarską, ciężką i trudną dla niej, pod której bolesnym naciskiem nieraz schyliło się rozmarzone czoło, a która stała się nakoniec jej śmierci przyczyną.

Zdawało się, że samo tylko szczęście powinno być towarzyszyć tej kobiecie, kochanej przez rodzinę, uwielbianej niemal fanatycznie przez naród, która i we własnej duszy umiała zawsze znaleźć treść i materjał do szlachetnych myśli i czynów. A jednak, właśnie przeciwnie, los doświadczał ją bezustanku. Zrąk młodej matki wyrwał pierwsze dziecko, córkę Zofię, dalej wojna austriacko-pruska zamąciła spokój, następnie brat męża Maksymilian rozstrzelany został w Meksyku, krewny król ba-

POGAWĘDKA.

Wszystko zwiastuje jesień.

Żółkną już liście na drzewach, wiatr tajemniczo szumi, jakby niósł płacz na skrzydłach swoich; niebo coraz bardziej szaremi chmurami się pokrywa, słońcem błysnie, to deszczem lunie, a strażą przednią mrozów i chłodu są „krupy“ lodowe, ów grad drobny, który na minut kilkanaście zaściela białem przeszcieradłem ulice miasta. Za chwilę bociany odlecą i żurawie, odbędą się zwykle sejmy ptasie, zwykła wędrówka do krain cieplejszych, gdzie „cytryna dojrzewa, pomarańczy blask majowe złoci drzewa.“

Najpierwszą jednak oznaką u nas, w Warszawie, zbliżającej się jesieni, są teatrzyki ogródkowe, które wpierw, niż ptactwo wędrówne opuściły siedziby swoje. Najdłużej na stanowisku pozostały „Odeon“ i „Wodewil“, gdzie ostatnimi czasy cieszyła się uznaniem publiczności sztuka Teodora Jeske Chońskiego p. n. „Sara Weisblut.“

Nie jesteśmy zwolennikami sztuk żydowskich, wprowadzających *żargon* na scenę, albo zepsutą mowę polską. Po „Małce Szwarcenkopf“ i „Jojne Firulkes“ pani Zapolskiej, trzecia sztuka tego pokroju jest już niepotrzebnym zbytkiem. Prawdą jest jednak, że dramat Chońskiego w druku noszący nadpis „Na straconym posterunku“ o całe lat kilka poprzedził „Małkę“ i „Jojnego“, — może więc być autor „Sary“ zupełnie wytlumaczony, tem bardziej, że naszym zdaniem (bo dużo zdaniu temu jest przeciwnych), „Sara“ pod względem budowy wyżej stoi od „Jojnego“ p. Zapolskiej. Tak Jojne małż Małki, jak i Henryk Proszowski kochanek Sary, prowadzą walkę z ciemnotą i przesadami mas żydowskich, tylko że Jojne postępowe swoje idee wypowiada przy nadarzających się dogodnie okolicznościach, to w chederze, to w piekarni, Proszowski zaś ma wykreślony cel z góry i z całą świadomością swego posłannictwa zabiera się do pracy. Lepiej też mi się podoba budowa dramatu Chońskiego, aczkolwiek nie jest wolny od dużych nawet usterek w sposobie przeprowadzenia założonej idei. Bądź co bądź jednak sztuka się podobała i gdyby nie pewne zmiany, jakie zaszły w końcowych dwóch aktach dramatu (bez woli autora), całość wyszłaby daleko lepiej i więcej możeby względów u krytyków naszych zyskała.

Ale daleko więcej nas obchodzą teatry stałe. Zmian dużo już w nich zaszło i wieści mówią o dalszych reformach, które jakoby z nowym rokiem nastąpić mają. Wieści jednak mogą wieściami tylko pozostać, nas zaś obchodzi to, co już jest, a obchodzi z tego względu, że rzeczwiście teatr nasz dramatyczny powinien się dźwignąć na stanowisko sobie przynależne. I tak, obecnie mamy *inspektora* w osobie p. Wincentego Rapackiego, do którego należy wybór sztuk i ich obsada. Reżyserem pozostał i nadal pan Bolesław Ładnowski, tylko dla ulżenia mu w pracy przybył drugi reżyser p. Leszczyński i pomocnik pierwszego p. Narkiewicz. Jak dotąd więc, przyszłość naszego teatru spoczęła w rękach czterech kierowników. Dobrze to czy złe — zawczasie dziś jeszcze o tem mówić. Wiemy tylko, że dramat ma mieć obecnie pierwszeństwo przed komedią i farsą, czego nie można wziąć za złe; powodzenie zaś Otella daje miarę gustu publiczności; na pierwszym także miejscu postawione być mają sztuki „swojskie“, co także na poklask zasługuje. Ale czekajmy! o tem zamyślowaniu do *swojskości*, nietylko w tym wypadku słyszymy ciągle, a nam nie słów już, lecz już czynów potrzeba.

Czekajmy!

Przed paru tygodniami byliśmy na otwarciu „Berezyń.“ Wspaniałe to dzieło malarzy naszych zajęło miejsce „Golgoty“ i pod względem artyzmu o całe niebo ją przewyższyło. Jak zwy-

kle w panoramach, najpierwsze miejsce zajmuje krajobraz. Powiedziałbym, że tylko martwa natura ma rację bytu w podobnego rodzaju dyoramacach, ona tylko łudząco przemawia do nas i każe zapominać o — sztuce. Te śniegi pokrywające pola, to połamane i przesiaknięte wodą kry lodowe, wieją takim chłodem, że mimowoli się tulimy, i mimowolny, przez sugestją dreszcz czujemy panującej wszechwładnie zimy. Na pierwszy rzut oka zachwycić nas mogą przepyszenie malowane konie przejmują grozą walące się mosty, porywa szarża rozpaczna szwoleżerów, ale złudzenie znika szybko: walące się mosty nie walą się, jazda nie pomyka naprzód — wszystko skamieniało dziwnie, zdętwiało w okropnym bezruchu i milezeniu.

Ale obraz przepysny!

Ta nawet skamieniałość ma olbrzymi tragizm w sobie.

Ten Napoleon, patrzący na ogień, który pożera sztandary, chlubę i sławę jego, ta szarża ulanów, z okrzykiem: „Vive l'empereur!“ rzucająca się w dal śnieżną — czy nie są kamiennymi obrazami? Patrzymy na „Berezyń“ jako na wizję jakąś potężną, wyłaniającą się przed nami z mroków nocy. Przejmuje nas dreszcz grozy, przeżera wielkość tragedii.

Wejście do gmachu Panoramy jest dotąd dotąd wąską ulicę Karową, ale maluczko — to się zmieni, bo już zwalono ściany pałacu Tarnowskich, już Syrena nie grozi nam swym mieczem przy wejściu w wąską szyję tej uliczki. Na rok przyszyły wzniesie się gmach olbrzymi, zdaje się hotel, urządony z niebywałym dotąd u nas komfortem. Ulica Karowa się rozszerzy i da nam widok piękny na Wisłę i za Wisłę. Dowiadujemy się także, że „kilku kapitalistów“ mniejszych zawarło spółkę udziałową, w celu utworzenia w Warszawie akwaryum, które ma się mieścić w dolnej i nowobudowanej części gmachu Panoramy przy ulicy Karowej. Urządzeniem wewnętrznym, jak niemniej i obsadzeniem lub zmianą okazów żywych, zajmować się będą specjaliści ze strony znanego handlarza okazów zoologicznych p. Hackenbocka w Hamburgu, z którym też rozpoczęte zostały odpowiednie układy w tej mierze, a otwarcie akwaryum nastąpić ma po uregulowaniu ulicy.“ Tak więc: p. Hackenbach ma nam dostarczyć i zwierząt do przyszłego ogrodu zoologicznego, i potworów rzecznych i morskich — do akwaryum. Oby tylko te wieści z gazet nie okazały się zwykłą dziennikarską kaczką, choć wolałbym te kapitały widzieć obrócone na teatr ludowy, na popularne wydawnictwa dla chat chłopskich niż na — małpy i piły morskie bo i bez tego małp mamy dosyć i piły nam nie brakuje.

Zbliża się chwila, w której ruch wydawniczy wzmaga się a półki księgarskie zaroją się od nowych książek. Na polu wydawnictw peryodycznych ruch także nie mały. „Niwa“ wypelniła swój tytuł i nazwała się „polską“ — „Kurier niedzielny“ zmienia zupełnie swoją szatę dotychczasową i przybiera nazwę „Tygodnika polskiego“ — odrodzona „Gazeta Polska“ ofiaruje czytelnikom 52 tomy *bezpłatnego dodatku*. Taniósć. Możemy tylko przyklasnąć „Gazecie Polskiej“ i życzyć z całego serca powodzenia. *Pięćdziesiąt dwa tomy* rocznie dzieł *dobrze wybranych*, toć przecie wzbogacenie wiedzy. Że redakcja „Gazety“ nie ma tylko kupieckiego interesu na myśli, o tem mogliśmy się naocznie przekonać. Wiemy jaki wybór dzieł już posiada. Uwzględnia zaś dzieła oryginalne, wystrzegając się przedruków. Premjum książek, pod względem wydawniczym, wygląda bardzo ładnie. Format książkowy wdzięczny, papier gruby i druk wyraźny nie pozostawiają nic do życzenia. Wydawca nie skąpi nakładu a nakład bardzo duży, ale pracę rozpoczyna z wiarą, że społeczeństwo zrozumie doniosłość zadania i poprze je chętnie.

??

warski Ludwik ginie w toniach jeziora tajemniczą śmiercią, a potem jedyny syn, następca tronu, ostatni potomek głównej linii rodu zamordowany zostaje w zagadkowym zamęciu, żeby choć bitwy, ale — biesiady. I nie dość na tem, rodzoną siostrę księżną d'Alençon pochłania pożar parzyckiego bazaru, a mąż drugiej siostry odbiera sobie życie. Do tych strat drogiej osób los dolewa gorczy, bo giną one w sposób bolesny i niespodziewany, fatalizmem jakim popechnięte w wir niebezpiecznych okoliczności. Pióro kapryśnego i wymyślnego powieściopisarza nie potrzebowałoby stwarzać dramatyczniejszych sytuacji i opłacać serce człowieka w trudniejsze przejścia, aż nakoniec, sama niewinna i dobra, zrezygnowana i smutna, w grubej swej żalobie na ramionach i na duszy, ugodzona zostaje w samo serce sztyletem zbrodniarza, który jej niema nic innego do zarzucenia, tylko ten dyadem monarszy nad czołem, i ani wielkoduszność tej kobiety, ani ciężkie zgryzoty tej matki, ani wielki i tkliwy charakter żony, ani ogromna dobroczynność tej pani, nic go nie powstrzymuje w szkaradnym, morderczym fanatyzmie, i oto na błękitnych wodach Lemanu, złożona na wiosłach jak w lektyce, blada i cicha, nie podejrzewająca nic złego, umiera cesarzowa Elżbieta, jako bohaterka swej poaurej tragedii.

Bezmierny żal, jaki wstrząsnął po jej śmierci całym narodem, a właściwie wszystkimi ludami, zjednoczonymi pod berłem jej męża, dowodzi, że to nie była tylko cudownej piękności monarchini, ale że były między nią a ludem silniejsze węzły uczuć i wspomnień, które sztylet skrytobójcy szarpnął i poruszył do żywego bólu.

Znali więźniowie tę śliczną postać, przesuwaną się często po korytarzach i celach ze słowem pociechy, ratunkiem i łaską, znali ją biedni, dla których sypała rocznie około stu tysięcy florenów na rozmaite dobroczynne cele, znali ją autorowie i artyści, których umiała poznać, ocenić i dodać ducha i materyjalnej podstawy. Nie mieszając się nigdy do polityki, trzymając się zupełnie zdala od wszelkich walk stronnicych, Cesarzowa umiała swym wielkim wdziękiem i taktem łagodzić niejedno starcie, a długi i przyjazny dotąd stosunek Austrii i Węgier miał swe poparcie nietylko w mądrości parlamentów, ale i w tej serdecznej, poetycznej fantazji królowej, która ze swego artystycznego pałacu w Gödölö wywierała nieprzezwyciężony urok na butnych synów Arpada, zawsze po rycersku i szczerze oddanych tej śmiałej a łagodne zarazem amazonce, czującej się tak dobrze na węgierskiej ziemi. Cesarzowa Elżbieta była przytem jedną, że tak powiem, z najdystyngowańszych kobiet na europejskich tronach współczesnych, prawdziwą artystką w zachowaniu się, w każdym słowie i w tym nastroju swej duszy, może trochę egzaltowanej i melancholicznej, ale zawsze na tle rzewnych uczuć i uwielbienia dla piękna w sztuce i przyrodzie i — w wyborze ludzi, jakimi się otaczała.

Dla nas najsympatyczniejszym rysem tej sylwetki jest jej niczem nie dające się skrepić uczucie wielkiego serca, którem niegdyś wybrała sobie towarzysza życia, którem go wspierała w ciężkich cierpieniach i które zostawiła do końca dla męża, dzieci i ludu. To też jak ongi, gdy całą obsypaną różami, na owej cudnej barce wśród muzyki i okrzyków radosnych tłumów, jako uroczyste zjawisko, witał ją młody oblubieniec cesarski z uniesieniem miłości na progu swej stolicy, tak i teraz, łamiąc wszelką etykietę dworu i ceremonial hiszpański, rzucił się zgnębiony cesarz z otwartymi ramionami ku tej cichej milczącej trumnie i przytulił do niej swą stroskaną głowę, czując, że mu brak tego serca kobiety, która ponad wszystkie świetności tronu, ponad wszelkie próby losu umiała być mu miłą żoną, kochającą dzieci matką i współczującą duszą dla narodu.

Szczęśna.

TYPY I SYLWETKI NIEWIEŚCIE

w poezjach Brodzińskiego.

(Dokończenie).

W wierszu „Przed ślubem“ widzimy młode dziewczę, mające wyjść zamaż, stojące w smutku i w łzach w swoim kwiecistym ogródku. Na pytanie rówieńnicy, czemu smutną jest i co tych łez powodem, chociaż „nieznane jej są serca niepokoje i jak zdroj skalisty czyste jej życie,“ — tak odpowiada dziewczę: „Choć mi nieznane serca niepokoje, jak zdroj skalisty czyste serce moje, smutno mi przecie, bo zachodem słońca, już młodość moja przychodzi do końca...“ Oto już siostra niesie dla niej ślubny wianeczek różany... jakże daleko wieniec ten ją zaprowadził... Zal jej za kwiateczkami, które smutne po niej główki pochylają, żal jej za chatą, matką i rodziną.

Obraz szczęśliwej miłości widzimy w wierszu „Mikon i Filis.“ Piękna i rozkochana Filis tuli się do Mikona, „cała lubym płonąć wstydem...“ Drżące wargi nie mogą wydać wyznania, lecz uczucie, chociaż tłumione, przejawia się wyraźnie w rumieńcu pałającym na licach, w pochylaniu twarzy do łona, w gorącym uścisku ręki w pięknych dłoniach, w długim spojrzeniu zamglonych, w pół przesłoniętych rzęsami źrenic... Jest to może jedyny obraz miłości w poezji Brodzińskiego, któremu nadał poeta nieco gorętszego kolorytu i barw żywszych. Inne tego rodzaju obrazki są trzymane stale w blado-różowym, nieco mdłym tonie: brak im płomienia, który krasi lica, brak żywszego tętna krwi namiętnej która się falą rozlewa po żyłach.

* W wierszu p. t. „Płoch“ poeta rysuje przed nami postać figlarnej, płochej dziewczyny, która bezkarnie igra z uczuciem swoich kochanków i nieczuła jest na wszystkie ich zaklęcia i dary. Dopiero w „Nawróconej“ widzimy ją zakochaną w Damonie, pasterzu, który pieśnią wygrywaną na fletni zdołał ją rozrzewnić i przynęcić. Od tej chwili zginęły już swobody dziewczyny, odbiegły już ją pokoje.

W wierszu p. t. „Pustoty Amorka“ widzimy również rozkochaną parę pasterską, wyjętą nie z wiejskiego bytu rodzinnego, lecz z konwencyonalnej sfery pseudo-klasycznej. Na początku poemaciku opisuje nam poeta miejscowość wiejską, gdzie na wzgórzu pośród wysmukłych jodeł jest darnina, przez Palemona w hołdzie Dyannie wzniesiona. Na wzgórzu to codziennie z rana przychodzi córka jego, urocza Melina, święcić ofiarę bogini:

„Ledwo jutrenka Feba z łoża trąca,
Już idzie, ślady po rosie znacząca,
Ogień w naczyniu i gałązki niesie —
Cichość po łące, gwar ptasząt po lesie,
Wdzięczna Melina na środku ołtarza
Układa prątki i ogień rozżarza.“

Napróżno jednak wydyma różane lica, aby rozdmuchać z iskry płomienie: ogień rozniecić się nie chce i tylko dymy kłębi do góry się wznoszą. Wszystkie usiłowania dziewczyny nie odnoszą pożądanego skutku: „na niechęć bóstwa Melina się żali, dłonie opuszcza, cicho się zasmuca“ — wiatr roznosi i rozrzuca dokoła z ołtarza prątki; dziewczyna w kornej postawie podnosi ręce w górę i prosi boginię o pomoc, gdy naraz

„Pieśń się Filona rozlega po łące,
Widzi z obłoku róże spadające,
Sam się na darni zajął płomień nowy,

Na skronie wieniec upada różowy,
A na ołtarzu przeleża Melina
Widzi z sajdakiem postać Kupidyna.“

W drugiej części poemaciku widzimy Melinę, jak w słotę kryje się „w olszowym zacięciu,“ tuląc się w białej szacie przed deszczem; opodal „po rosistej łące o wce Meliny chodzą kwiat skubiące,“ skracając sobie czas przykry, nuci pasterka piosenkę. Aż oto, od strony lasu nadchodzi chłopczyzna zmokła, utrudzona, dźwigając wędrowniczą torbę na ramieniu, w ręku ma kij, a u łona łagiewkę z dyni. Zbliża się ku pasterce i „żali się przed nią trudów, poniewierki długiej, swego sieroctwa, mówi, że się zbłąkał w drodze i prosi o przyjęcie go na nocleg do chaty i o posiłek, ofiaruje się za to usłużyć Melinie w zganiu trzody rozblakanych owiec. Smutek i litość zdjęły serce Meliny przy opowiadaniu sieroty, a on tymczasem „rzucił torebkę, zdjął z ramienia dynię, nagle za trzodą goni po dolinie,“ lecz zamiast spędzić w kupę, coraz dalej rozgania owce. Biegnie więc sama Melina za rozblakaniem, gniewna za psotę, gdy w tem niespodziewanie sprostrega ona Filona pasterza. A chłopię przemienia się w Amorka, napina łuk, strzela, śmieje się — i znika w gęstwinie. W trzeciej części widzimy Melinę, śpieszącą lasem do świątyni, by poświęcić liliowy wianek bogini czystości. Z ust jej wypływa piosenka, która rozbija się echem o drzewa lasu, lecz w sercu dziewczyny tkwi gdzieś strzała zdradnego amorka. Doszły echa dziewczęcej piosenki do brzegu, gdzie się smuci zakochany Filon; otrząsają go z zadumy i naprowadzają na ślad dziewczyny, która naprzód ukryć się stara przed kochankiem i obronić jego uściskom.

W wierszu „Nasza Marynia“ opowiada poeta, jak wziął się dyabeł, aby zgubić Marynię; chciał ją w przepaść strącić z góry, nosił ją w pustynie dzikie, straszył tygrysiemi pazury, ale wszystko napróżno; Marynia zawsze go zwyciężała, bo słuchała swego stróża Anioła. Przebrał się wrzescie kusiciel po niemiecku: „słodki jak cukier, układny jak kotek, pieścił się, kłaniał, pochebiał jak dziecko, płacząc obmawiał, bo nie cierpiał plotek...“ w ten tylko sposób zdołał się wkraść do serca Maryni, która go odtąd „za aniołka miała, i Stróża swego jak dyabła żegnała.“ Tak to — według poety — opiera się nieraz serce kobiety przemocy i brutalstwu występku, lecz daje się uwieść, ilekroć występki przybierze na się piękne i miłe pozory.

Przyjrzyjmy się teraz postaci kobiecej, jako żonie. Postaci takich znajdujemy u Brodzińskiego niewiele; zaledwie parę wierszy przytoczyć możemy, w których występuje przed nami kobieta jako żona. W wierszu zatytułowanym: „Żona do męża,“ słyszymy skargi nieszczęśliwej żony, której miłością mąż w końcu wzgardził i którą prześladuje i gnębi. Nieszczęśliwa kobieta wspomina szczęśliwe swoje lata dziecinne, gdy jej „na ojców dolinie krótko płynął wiek złoty...“ Przychodzą kolejno wspomnienia chwil szczęścia, gdy on wówczas rozkochany w niej szalenie, szeptał jej zdradne słówka, gdy jej uśmiech zwał uśmiechem niebianki, a duszę jej swoją duszą... Bez woli rodziców, bez ich rady poszła za ukochanym w świat daleki, „w odludne pola, między nieznane sąsiady...“ Dla niego jednak polubiła tę wieś „pomiedzy czarnemi borami,“ miłość bowiem „miała być stepów ozdobą.“ Mężnym umysłem zniosła dla niego wszystkie cierpienia, dla niego znosiła wzgardę i szyderstwo jego rodziny, a pomstę i wyrzuty swej własnej... Niedługo kochała się w cnotach, aby być niewinną, później każdą cnotę wypełniała z miłości dla niego. W obec niego, w obec wielkiej ku niemu miłości niezem już była dla niej cnota i chwała; on był dla niej całym światem i wszystkim na świecie; nim szczęśliwą była i o jego jedynie szczęście dbała. Ale nie umiał tego ocenić mąż nielitościwy... serce się jego odmieniło i miłość przeszła w nienawiść ku niej. Ileż cierpień wówczas przeniosła, cicha, cierpliwa, uległa... Uczyla się przenikać jego wolę, odgadywać jego życzenia, kłamać wesołość wówczas, gdy serce jej pękało od bólu... a lży wywo-

łane jego postępowaniem w duszy zakątku przed nim kryła. Cierpiała długo, bez skarg, bez szemrania, a cierpiała podwójnie: za siebie i za dzieci, z którymi on postępował równie jak z nią bez litości... Wreszcie jedno dziecko z drugim przeszło do mogiły — a jej brak już sił do dłuższych męczarni... „nie zdoła tego nieszczęśliwa żona, co matka umiała znosić...“ Jedyna jej brzoń i cnota — cierpliwość — już jest dla niego nieznośną... przysięga święta już dawno stargana przez niego... ona już wolna, a śmierć jej przedwczesna wkrótce tę wolność utrwali...

W innym wierszu p. t. „Gospodyni“ widzimy inną cnotę — gościnność, z jaką niewiasta przyjmuje zdrożonych i strudzonych po walce rycerzy.

A teraz przypatrzmy się kobiecie — matce. W wierszu „Zal matki“ widzimy ją rozpaczającą nad świeżą trumienką dziecka. Przypomina sobie w boleści owe kwitnące nadzieje, jakie zakładała jej czule macierzyńskie serce, na dziecięciu... „Rachowałam ja na ciebie, a dziś wszystko z tobą grzebię... Nie doczekała nawet tej szczęśliwej chwili, by dziecię z kolebki pierwszy wyraz wymówiło do niej to słodkie słowo: „matkol...“ Gdy nieraz inne szczęśliwe matki tuliły do łona uśmiechnięte swoje dzieci, gdy wsłuchawszy się z rozkoszą w pierwsze wyrazy z ust wychodzące niemowlęcych, — ona płakała na ł swoim, którego „ból był dni osnową, a płacz jedynie jego mową...“ Całą radością, całym szczęściem jej było czuwanie nad dzieciątkiem; księżyc i słońce, trzymając straż nad ziemią, mieniały się z kolei, a ona „i w dzień i w noc dziecię pilnowała...“ Dziecko umarło i odeszło matki, a wraz z niem odeszło od nieszczęśliwej wszystko szczęście życia — i świat odtąd już pusty dla niej i martwy...

W innym wierszu p. t. „Matka i dziecko“ widzimy matkę kołyszącą do snu na swem łonie dziecię, które, słysząc dzwony pogrzebowe, pyta o ich przyczynę i prosi matkę, by je wiosną zawiadła na cmentarz. Kochające serce matczyne lęka się nawet cienia złej wróżby i odpowiada dziecięciu: „Zostań ty, pójdę ja sama, będziemy później przy sobie...“ Wreszcie w wierszu „Matka do syna,“ — matka dziękuje Bogu, że wychowała syna na dorodnego młodzieńca, któremu „topol zajrzy urody;“ przywodzi sobie na pamięć swe „trudy i znoje,“ jakich kosztowało ją wychowanie syna, i mówi, że jego uroda i siła nagrodziła dziś jej wszystko.

Jest piękny wiersz Brodzińskiego, w którym poeta streszcza swe zdanie o kobiecie, jako o córce, małżonce i matce. Wiersz ten niech będzie zakończeniem niniejszego szkicu:

Trzy razy — żyjąc na świecie —
Świat cały tulisz do łona:
Przy piersiach matki — jak dziecię
Szczęśliwa — nie wiesz o świecie.

Kochanka tuląc do łona,
Jak w świecie — w nim zatopiona,
Zapomnisz wcale o świecie —
A tuląc własne twe dziecię,
Świat cały tulisz do łona.

S. O.

PAMIĘTNIKI

Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej.

(Dalszy ciąg)

VI.

Pan sędzia Miłojewski.

Pochylony wiekiem i słabością zdrowia, wysokiej postaci, bladych przeciągłych liców, profilu rzymskiego, siedział sędzia w krześle poręczowym, zagłębiony w dumaniu. Na kominku

tlal ogień; książka rozwartą leżała na stoliku, — nie patrzył w nią. Gazety porozrzucone wprawiły go w to dumanie, bo z daleka na nich wzrok jego zawisł.

— Dzień dobry, moja synowo, śliczna moja Kazia. — odezwał się, wypogadzając oblicze, do wchodzącej młodziuchnej osóbkę, dość żywo zbliżającej się do ucałowania ręki starca; pocałował ją w czoło. Kazia miała lat 14, a była córką sędziny Wysocińskiej, drobna, szczupła, biała, dość opiekła, dziecinnego prawie jeszcze składu twarzy, ale pojętności wyraz oznaczał w niej wczesną dojrzałość; mogła ona być przyspieszoną czytaniem i rozważą, lub też rychło nabytem doświadczeniem. Wstał sędzia, otworzył do biurka, wyjął małe puzderko w czerwony safian oprawne i woreczek zielony z siatki jedwabnej, przez której rzadkie oka przebijał się blask świeżo bitych dukatów.

— A kiedyś mnie odwiedziła przy tym Nowym Roku, więc życząc ci szczęścia, ofiaruję na pamiątkę dnia dzisiejszego oto ten sygnet, co mi służył był do zaręczyn. Niech cię oprawa staroświecka nie zraża, bo z tych brylantów może być naszyjnik godny piękności poci twojej delikatnej, a na oprawę masz oto w tym woreczku 100 czerwonych złotych, w jednym roku wybitych. Może to ostatni raz rozpoczynamy rok z sobą — i westchnął głęboko.

— Nie zasmucaj mnie papko i pozwól winszować jak najdłuższego życia, które niestety ręką jest szczęścia naszego i tu rzewnie się rozplakała.

Głaszcząc włoski koloru kasztanowego, zwinęte w lekkie pierścienie na czole synowej, do brotliwym mówi tonem:

— Czyż to już wątpiasz o mężu? On tak młody i ty dzieciak; porozumiecie się, jak przyjdzie wiek rozwagi; stracisz cokolwiek zbytycznej tkliwości, a on roztrzepania.

— Ale nie obojętności, — dodała smutno Kazia.

— To tylko ci się zdaje! Mógłżeby być obojętnym na tyle wdzięków, przymiotów serca i duszy?

— Ja nie wiem jak dalece zasługuję na twoje pochwały, papko, ale to widzę z ciężkim żalem, że Józefa więcej zajmują jego konie tarantowate, aniżeli moje towarzystwo; a kiedy przyjdzie, a ja przewyciężywszy wstręt zapachu stajennego, zbliżę się do niego, by stęskniona rzucić się w jego objęcia, to zimny na moje pieszczoty, zaczepia pustotami służące, kobiety, i więcej wdzięku w szerokich znajdzie rozprawach z niemi, aniżeli w udzielaniu się mnie, biednej żonie.

— Przywiązanie czyni cię zazdrosną, unikaj tego zgubnego uczucia, ono cię unieszczęśliwi, a nawet męża zniechęci; bądź spokojną i żyj w nadziei; że wiek ostudzi zbytężywość syna mego, a wytrwałość i przymioty twoje wzbudzą w nim to głębokie poszanowanie, na jakie cnota zasługuje.

— To dobrze będzie na później, ojcze kochany! Ale ja go kocham, cała żyję dla niego, w nim jednym widzę szczęście i nieszczęście życia mego; każda oznaka obojętności przykro mnie dotyka, lękam się, czyli nie zasłużyłam na jego niechęć, którą może powstrzymuje, aby mnie nie zmartwić. Tysiąc razy przenosiłabym otwarte wyrzuty nad niespokojność, która mną miota, szukając w mem postępowaniu przyczyny jego oziębłości.

— Ale bo tej nie ma przyczyny, ani nawet skutku, kochaneczko droga! To widzisz mężkie są obyczaje, tak wiele od waszych różniące się, a ty młodziuchna jeszcze, nie pojmujesz tego. Jak będziesz matką, — a podobno już jest nadzieja — (tu się zarumieniła mężateczka), to wychowując dzieci, poznasz w niemowlętach nawet różnicę skłonności, jaką wlewa natura w obiedwie płci; to rośnie z czasem, wychowanie coraz więcej rozwija właściwe cechy, a każda, idąc za przeznaczeniem, jakie przyroda lub ustawy towarzyskie wskazują, nabywa tak odrębnego charakteru i zwyczajów, że potrzeba znowu całego uczucia i wzajemnej skłonności, jaką dobroczynna przyroda obdarzyła ludzi, aby bez trudności pogodzić tyle różniące się dziś istoty, spojzić je w jeden węzeł miłością złączony, a z ta-

kiego zjednoczenia wyprowadzić nadzieje przyszłych pokoleń. To jest cel małżeństwa, moje dziecię; dla tego to uniesienia i niespokojności, jakich doznajesz, są tylko środkiem do zbliżenia dwojga kochanków; nie powinny trwać nad zamierzony kres ich połączenia. Spokój otaczać winien uczucia tkliwych małżonków i wspólne dążenie do wzajemnego dobra. Przywyknij, aby się cieszyć tem, co męża twego bawi; nie widząc oporu swym chęciom, będzie je podzielał z tobą i może nawzajem skłoni do twego upodobania; tak osiągniesz słodką władzę nad jego umysłem i zdołasz nią kierować ku szlachetnym celom. Jakie ci miłość macierzyńska wskaże.

Kazia miała rozum otwarty, objęła dobrze przedstawienie teścia. Ton jego łagodny i ujmujący, życzliwość, jaka się w fizjonomii starca malowała, dały jej uczuć całą moc prawd wyrzeczonych, a za tem szło postanowienie, aby się zastosować do zbawiennych rad jego. Ale w pokoju Kazi leżały stopy romansów, powieści moralnych i poezji egzaltowanych, jakimi zasypiano ówczesną literaturę. Romanse uczuciowe, zapełnione obrazami wyległymi w zбочzonej płomienistej wyobraźni, gdzie tem świetniejsze stawiano ołtarze miłości, im większe zapomnienie względów społecznych jej towarzyszyło, gdzie bohaterowie dziejów miłosnych wystawieni jako ludzie celujący wszystkimi przymiotami duszy, ciała i umysłu, dyskredytowali biednych śmiertelnych, w których literatki owego czasu miały znaleźć zalety, potrzebne do uszczęśliwienia siebie w domowym pożyciu. A Kazia czytała wiele: bogata i zbyt młoda, nie zajmowała się zarządzeniem domu swojego.

Kiedy szła za męża, obok wyprawy otrzymała od matki do usług i wyręczenia starą pannę Białoskórską; ta widziała już rodzącą się matkę swej pani, haftowała dla niej wyprawę, była świadkiem dwojakiego jej życia, wiernie dopełniała wszelkie usługi, posiadała klucze wszystkich tajemnic, była małomówna i nieciekawa, pracowita, wierna i pobożna; tak doszła do wieku lat sześćdziesiąt w dostojestwie niezłomnego panienstwa. Była też szanowana i wynadgradzana w domu znanej jej sędziny W. Kazia przyzwyczaiła się kochać i ufać pannie B., ale pusty jej małżonek nie mógł wejrzeć na nią, aby z niej wzorków nie wyprowadzał. dowcip *polissoński* igrał w tysiącznych nutach, opierając się na tle tak dobrze zachowanej czystości dziewiczej. Białoskórka gorszyła się, a pani litowała, widząc ją przesławianą. Młodsze służące stanowiły punkt porównania; panna B gniewała się, że traci na powadze, jej pani niechętnie patrzyła na spoufalenie męża.

VII.

Pan Józefat Miłojewski.

Jeszcze przebywała synowa w domu ojca mężowskiego, czerpiąc pociechę i odwagę w poufnej rozmowie, kiedy wolant sięgający dachu, zaprzężony czterema dzielnymi tarantami, z usłużeniem w liberyi ponsowej ze złoconemi galony, otaczającymi kołnierze czarne, aksamitne, wielkim zajeżdżając pędem, przed dworem sędziego stawa. Jednym skokiem sunął z wierzchołka lotnego pojazdu brunet średniego wzrostu, twarzy okrągłej; brwi stykają się na czole, oczy żywe iskrzące, zarost zgolonej brody i bokobrodów zostawia ślad modrawy na dolnej części twarzy; ciemny włos gęsty w nieregularnych rozrzuceniu się promieniach, bo należało do wysokiej elegancji młodzieży ówczesnej, żeby nie gładzić włosów szcztoką ani grzebieniem, ale garnąc palcami, aby się naturalnie układały.

Lotem błyskawicy wpada do pokoju, wita ojca, żonę, kręci się i chodząc opowiada nowiny, zdanie sprawy z poleconych interesów, pochwałę teatru, a zwłaszcza aktorek, spotkania w traktjorni, końskie targowisko, wizytę u sędziny, pozdrowienie matki i siostr dla Kazi, ukłony sędziemu, zakładane banki, gry szalone, bale i re-duty, koncerta wokalne.

— A propos koncertu, ma chère, chciałem ci przywieźć Włoszkę śpiewaczkę, aby twój dźwięczny głos usposobiła; już była w chęci jechania, otóż nie dozwoliła jej antreprzyza, bo się zaangażowała na całą zimę towarzystwu muzykalnemu obejmującemu część Europy. Wielka szkoda!

— Ej, nie szkoda, — rzekł sędzia, przerywając synowi po raz pierwszy. — Kazia ma dość talentu dla żony ziemianina, a takie panie Włoszki, to czasem i mężów edukują; daj sobie pokój Józefatku, szkoda naszego złotka wysyłać do Włoch; czekaj, aż nam się wróca owe sumy neapolitańskie, co je nieboszczka królowa Bona tam uwięziła. Wszystkie Włoszki po jednych pieniądzech; nabawiają się katarów w naszym klimacie, a wywożą gotówkę, aby się miały czem leczyć u siebie.

— Były też chrzciny w Poznaniu, zgadnijcie czyje?

— No to chyba u jakiej księżnej przejeżdżającej, albo się też żydówka ochrzciła, bo inaczej nie zasługiwałyby na wspomnienie.

— Ani jedno, ani drugie! Rogozińska dała ochrzcić swą córeczkę — pośmiertne dzieło nieboszczyka kapitana; ale teraz zgadnijcie, kto stał w kumy?... Otóż, żeby was nie dręczyć: twoja matka, Kaziu...

— Z kim? — przerwała mu żona.

— Z szambelanem Blemińskim, który przyteję sposobności dopiero się zaprezentował.

— A! to świeży wdowiec! — wtrącił sędzia, złożywszy usta do uśmiechu i poruszywszy głowę na znak, że się czegoś domyśla.

Kazia nie uważała tego, bo Włoszka myśl jej zająła... ale że się zrobiła pauza, w czasie której nowoprzybyły zajął zastawiony naprędce posilek, zapytała męża:

— Jakże się siostry bawia? bywająż w teatrze, na balach?

— Najprzód chrzciny wyprawiała matka chrestna, i były świetne. Rozwinięto cały przepych, a wieczór tańcami się zakończył. Cudnie Józia tańczyła fandango. Produkowały się potem obiedwie Villageviserni; w tańcu Marynia nieźle się wydaje, nie kołysze się, a gięcia i gracja przywiązane do tych modnych tańców, upięknią i najniezręczniejszą postać.

— A toć Marynia, monsieur, nie jest tak niezręczna.

— Siostrą jesteś..

— A dla Boga, — wdał się sędzia, — znajdzie się taki co ją pokocha, zkażdeby też samych brać piękności! To piękne, co się podoba.

— Chciałaś wiedzieć, ma chère, otóż bywają w teatrze, na koncertach, ale na balach publicznych nie, bo matka utrzymuje, że za młode. Między nami mówiąc, ma chère mère, pewnie nie rada być ziewającą na bankiecie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

ARCYDZIEŁO

dramat w pięciu aktach.

(Dalszy ciąg).

AKT III-ci.

(Bal u baronostwa. Pokój cały w krzewach i kwieciu, w jednym z rogów bije fontanna. Drzwi na lewo i prawo. Na przeciw widzów łuki arkad, lub rząd kolumn, za którymi widać dalsze pokoje. Piękny pajak jarzący się zwiesza się u sufitu. Słychać strojenie instrumentów, parę skrzypcowych passaży; po chwili wszystko to milknie. Wchodzi Baron niespokojny, którego trzyma za rękę Doktor, za nimi idzie Aleksander).

Doktor. Panie baronie — spokojnie, spokojnie!
Baron (rozglądając się). Albo ja jestem niespokojny?

Doktor. Jako doktor, wiem dobrze, co panu jest...

Baron (wpatrując się). Ty wiesz co mnie jest?

Doktor (dostaje zegarek i bierze barona za puls). Baron masz odrobinę gorączki...

Baron (roztargniony). Mądryś, gdy ci to powiedziały wskazówki sekundnika.

Doktor. Pan baron nigdy jeszcze tak roztargniony nie byłeś...

Baron. Jak widzę—lubisz polować na baki.

Doktor. Przynajmniej od kiedy jestem nadwornym doktorem pana barona.

Baron. Na takie polowanie nie zapraszałem ciebie nigdy.

Aleksander (śmiejąc się). Zrozumieliście się!

Baron (szepem do Aleksandra, wskazując doktora). Skończony idyota z niego!

(Aleksander siada).

Doktor. Ależ powiedziałem: od kiedy jestem tu doktorem, tak wielkiego rozdrażnienia nie widziałem u pana barona.

Baron. Dobrze żeś się wytłumaczył, bo wiedza twoja okrutnieby zmalała.

Doktor. Nie jestem Bogiem.

Baron. Zapewnienie zbyt cenne.

Doktor. Pan baron dziś jesteś w żartobliwym usposobieniu.

Baron. Boś trochę na umyśle trącony.

Doktor. Parę łyżek bromu radziłbym zażyć.

Baron. Nie czyn zaskoków—mów, co mi jest?

Doktor. Silne rozdrażnienie nerwów.

Baron. Collossale! bez ciebie nie wiedziałbym o tem. Nerwy! i to wszystko, nie—tylko nerwy!

Ale dla czego one drgają jak struny zgrane, jaki po nich smyk przeszedł, dla czego muzyka tak fałszywa wyszła—to już przechodzi zakres twojej wiadomości.

Doktor. Tysiąc bywa przyczyn.

Baron. Jedną wymień, ale porządną.

Doktor. Nie znam życia pana barona.

Baron. A powiedziałeś tak śmiało: wiem dobrze, co panu jest, panie baronie! Mój doktorze, mój uczone doktorze, nie przyda się na nic twoje *nutrum bromatum* i macanie pulsu z zegarkiem w rękę, dopóki... (słychać znów strojenie instrumentów. Baron drgnął). Słyszysz!

Doktor. To muzycanci instrumenty stroją.

Baron (drząc). Nie wiem, jakie piekło, jest w tym zgrzycie skrzypiec, w tem niesforem brzęczeniu strun... (z mocą). Zabij pamięć, a nerwy jak owieczki usną u nóg pasterza.

Aleksander (który wstał przed chwilą). Doktorze, zostaw nas samych...

Doktor (do Aleksandra). Coraz częściej spotrzegam napady szaleństwa...

(Wychodzi).

Aleksander (ujmując rękę barona). Romanie!

Baron (chwytając jego dłoń). A—jesteś! Dobrze... Kiedyżeś przyjechał?

Aleksander. Mówiłem ci już o tem.

Baron (patrzając przed siebie). Myślałem, żeś zidyociał zupełnie, żeś uspił wszystko w sobie...

Gdzie tam! Kilka lat samotności, spokoju, picia i żarcia pograżyło duszę w jakiś sen kamienisty. Przeszłość—zdawała się nie istnieć, obecność... nie dręczyć, przyszłość... żadnej nie mieć wartości... (chwytając nerwowo za rękę Aleksandra).

Ty wiesz, jak ja tę kobietę kochałem!...

Al rzucała mnie w pył... w proch!... Myślałem, że świat się pode mną wali, a to ja się zwałem.

Chaos—zamęt—jakieś ogromne morze ciemności... Gdym powstał—nie miałem ciepła w pierści, myśli w mózgu... Zostałem żernem zwierzęciem nie mającym nic za sobą, nie przed sobą.

Wiedziałem tylko, że sam był, że jakiś próg olbrzymi drzwi mi zaparł do świata myśli, marzeń, pragnień i rósł, rósł, rósł w nieskończoność... Okropny próg! Wracająca chwilami przytomność mówiła mi, że to okropny próg! Później—mgła szara, ciężka, jak ołów (pokazuje na głowę) tu osiadła... Później—wróciła Matylda...

Spojrzała mi w oczy—pamiętam! spojrzeła i szepnęła: idyota!... Zaśmiałem się głupio, nie wiedząc nic, co stało się w dniu wczorajszym...

Kłoc, drewno, bałwan!... Nagle... dziś... zbudzi-

ła się pamięć, pamięć wszystkich krzywd, bólów i złamań się. A czy ty wiesz, co ją rozbudziło? Rzeź dziwna! Strojenie tych, tam, instrumentów, zgrzyt tych, tam, strun... Bo widzisz... dwa lata temu, tak samo, jak dzisiaj, przed balem, strojono instrumenty, gdy zszedłem ją i tego muzykusa, tego przybranego syna Alfa... Płomienie otaczały ich, usta ust, ramiona ramion szukały... (drży).

Aleksander. Uspokój się!

Baron. Doktor jest głupi, głupi, głupi... Lecz czy chce? Niech wydrze pamięć a zdrów będę.

Aleksander. Zapomnij!...

Baron. Czy myślisz, że nie chciałbym zapomnieć? Ja się tak boję tej pamięci, tak boję, bo z jej przybyciem krew zalewa mi oczy i chciałbym się zemścić za ból, za wstyd, za hańbę... krwawo się zemścić! (Słychać muzykę). Słyszysz!

Aleksander. Bał się rozpoczął... Niech tańczą, szaleją—co tobie po tem!

Baron (jak echo). Co mnie potem!...

Aleksander. Grubą warstwę pyłu rzuć na pamięć.

Baron. Proch—proch—proch!

Aleksander. Wspomnienia zdmuchnij.

Baron (wpadając w bezmyśl). Fu—fu!...

Aleksander. Zajmij się dniem dzisiejszym.

Baron. Jedz... śpij... (po chwili). Uciekł—z nią razem... a mnie się tu zmieszało. Później noc... noc... (łkanie i śmiech tłumi).

Aleksander (d. s.). I Alf nie o tem nie wie!

Baron. Co mówisz?

Aleksander. Pytam czy zawsze się zajmujesz połowem motyli.

Baron. A prawda, żeśmy o motylach mówili... A jakże, zawsze—to moja passya. Podchodzę cicho, zdradnie i—jest!... Później ostrożnie na szpilkę go biorę, ostrożnie, by serca nie dotknąć, bo przecie i motyl ma serce i czuje ból, gdy go urazi ostrz szpilki. Uderz w głowę—skona od razu, w pierś—pomęczy się chwilę, nie trącaj tylko serca, bo i rozum się zmiesza i pierś krwią opłynie i nigdy niezabliźnioną ranę otrzymasz. Ja wiem Aleksandrze, jak to boli—wiem... wiem... (łka).

Aleksander (rzuca się nagle, jakby coś schwytał w powietrzu). A—tuś nu!

Baron. Co to?

Aleksander. Motyl.

Baron. Gdzie? gdzie? gdzie?

Aleksander. Poleciał.

Baron. Szkoda!

Aleksander. Szkoda

Baron. Piękny był?

Aleksander. Wspaniały!

Baron. Szkoda!

Aleksander. Zbiór masz duży?

Baron. Brak mi tylko „Pazia-żeglarza.“

Aleksander. Tej wiosny pojawiła się ich ogromna obfitość.

Baron. Doprawdy?

Aleksander. Motyle te są bardzo przezorne—potrzeba zachodzić cicho...

Baron. Cicho... ostrożnie...

Aleksander. Tak...

Baron. A później szybko rzucić siatkę i schwytać.

Aleksander. Myśl o motylach, o pozłocistych skrzydłach „Pazia-żeglarza“ obramowanych lazururowymi centkami.

Baron. Myślę... myślę...

Aleksander. Chodź ze mną... Pokażesz mi swój zbiór, wybierzem siatkę na połów jutrzejszy i będziemy na gwałt je chwytały.

Baron. Myślę... (ożywiając się). Będziem na gwałt je chwytały, od rana do wieczora, aż do wyczerpania sił wszystkich... chodźmy!

Aleksander. Chodźmy!

Baron. Okrutnie chce mi się jeść, Aleksandrze!

Aleksander (d. s.). Dobry znak—pamięć usypia....

Baron (prowadzony). Okrutnie chce mi się jeść... (W wirze walcowym wpadają Zygmunt i Baronowa).

Baron (rzucając się) Widzisz—motyle!.. Rozdzielić ich potrzeba!

(Wpada wśród nich i roztwierając nagle ramiona, rozdziela tańczących, aż odskakują od siebie zdziwieni. Baron zaczyna śmiać się idyotycznie, Aleksander oddaje ukłon Baronowej, która ze zdziwieniem na niego patrzy—i podchodzi do Barona).

Aleksander. Zostaw ich—nie ci po takich motylach... (Do Zygmunta). Z panem chcę się zobaczyć...

Baron. Okrutnie chce mi się jeść, Aleksandrze! (Wychodzą).

Baronowa (podchodząc szybko do Zygmunta). Nie wspomniałeś mi nic o przyjeździe pana Sokolicza.

Zygmunt. Miał-żem czas? Zaledwie próg twojego salonu przestąpił, jak uderzyła mnie dawna atmosfera wspomnień, narkotyk twych słów.

Baronowa. Cha—cha—cha! Mówisz, jak dawny Zygmunt, a ja słucham ciebie jak dawna Matylda, wierząc, że przygnała cię znów do mnie—nie wiem, co tylko: tęsknota czy namiętność?

Zygmunt. Wybieraj jedno z tych dwóch, gdy żądasz wyboru i—wierz w dokonany wybór!

Baronowa. I—dodaj jeszcze—zapomnij o słowach wzgardy jakimi cię obrzuciłem, o dniu, w którym rozstaliśmy się na zawsze..

Zygmunt. Zapomnij!...

Baronowa. Siadaj! tu nie przeszkodzi nam w niczem gwar zabawy, nie prędko ktokolwiek bądź wejdzie, by odetchnąć świeżem powietrzem tego zakątka.

Zygmunt (siadając przy niej). Jestem więc znów przy tobie.

Baronowa. Cha—cha—cha...

Zygmunt. Śmiejesz się?

Baronowa. Mów prawdę.

Zygmunt. Pytaj!

Baronowa. Zamało wiem—chcę wiedzieć wszystko. Próżne miejsca wypełnić mi musisz.

Zygmunt. Słucham.

Baronowa. Rzuciłeś mnie.

Zygmunt. Wróciłem do ciebie.

Baronowa. Wiem, jaką rolę w rozstaniu się naszym odegrał pan Aleksander.

Zygmunt. Cóż ztąd?

Baronowa. Nie wierzę jednak w odosobniony wpływ pana Sokolicza tylko, choć on nas rozdzielił; nie wierzę, by nim powodowała przyjaźń dla mojego męża, bo zidyociały umysł barona nie już rozumieć nie mógł. Tam rolę grać musiały wspomnienia jakieś, uczucia mi nieznanne,—tam, w grę musiała wchodzić... wchodziła... (Zygmunt kurczowo chwytając baronową za rękę). Patrzą z trwogą?

Zygmunt. Milcz!

Baronowa. Podstawiona ci przez tego pana Sokolicza—kobieta!

Zygmunt. Tak!

Baronowa. Al! (wstaje szybko). Nie wiedziałam o tem!

Zygmunt (wstając). Nie wiedziałas?

Baronowa (gorączkowo). Kto ona jest—mów!... mów, gdzie ona jest?

Zygmunt (ponuro). Była—dziś nie ma już jej...

Baronowa (j. w.). Odpowiadaj mi zaraz—natchmiast!

Zygmunt (jakby po walce). Nie—nie—nie... Skłamałem—nie było jej!

Baronowa. Powiedziałeś: tak! Al! z tem tak: całe piekło zazdrości uczułam w duszy, nienawiści piekło całe, a w żyłach szum krwi, ognie pożądań, szalę niestłumionej niczem namiętności. Ja ciebie nie sercem kocham, lecz krwią żył moich, nie słabymi władzami duszy lecz potęgą zmysłów, które czuję, rozumiem, któremi oddycham! Mów mi, mów—kto ona jest, gdzie ona jest—ta kobieta?

Zygmunt. Nie bądź szalona!

Baronowa. Nie bądź przewrotny!

Zygmunt. Przy sobie mnie widzisz.

Baronowa (ściągnając brwi). Nie byłbyś tu w tej chwili, gdyby nie twoje krótkie: tak! Chciałam cię widzieć raz jeszcze i precz odtrącić, lecz gdy masz do kogo odejść—nie puszczę cię! Zwolniłabym cię może z więzów swoich dla wszystkiego, co świat ten posiada, nie—dla kobiety tylko!

Zygmunt. Dziś dobrowolnym jeńcem twoim jestem... Cóż chcesz nadto?

Baronowa. Sokolicz znów może wydrzeć cię zechce wspomnieniem o tamtej...

Zygmunt. Nie lękaj się już tego, Matyldo!

Baronowa. O, jestem pewna, że on raz jeszcze przede mną stanie, jak wtedy... pamiętasz? gdy—wrywał mnie ciębie...

Zygmunt. Nie—nie...

Baronowa. Dziś—niepomyszczona—jużbym tak odejść nie mogła, bo wiem, że nie do sławy lot górny, nie pragnienie wielkości oderwałoby cię ode mnie, tylko, ktoś do mnie podobny, silniejszy niż ja... a jabym tego nie zniosła!...

Zygmunt. Przeraził cię pusty dźwięk słów moich...

Baronowa. Nie kłam! chcę wiedzieć jej imię... jej imię wiedzieć!

Zygmunt. To imię właśnie dźwiękiem jest pustym...

Baronowa. Niech więc pustym zostanie—pamiętaj! Ty—nie masz może prawa mówić o niej, lecz ja dowiedzieć się chcę i—muszę! Strzeż się!...

(Muzyka głośna gra poloneza, słychać okrzyki).

Okrzyki. Brawo Alf!

(W rzędzie pokoiów za kolumnami pokazuje się par kilkanaście, na których czele idzie Alf, prowadząc poloneza. Panowie we frakach, panie w balowych strojach, Alf tylko w długim, czarnym surducie opiętym na guziki. Na końcu sunących się par, idzie Aneta z podeszłym w wieku mężczyzną. Strój Anety błękitny, w lilje żywe ubrane. Alf spostrzega Baronowę, odwraca się za siebie i woła).

Alf. Odbijanego!

(Podaje rękę Baronowej, tancerze posuwają się krokiem naprzód, biorąc tancerki, w ten sposób pozostaje sama Aneta. Pary okrążają pokój, zachodzą znów za kolumny, wijąc się węzłem, muzyka gra coraz ciszej. Aneta zostaje na boku bliżej sceny, za nią Zygmunt).

Zygmunt (d. s.—po chwili). Czarodziejsko piękna!...

Aneta (napół omdlała usuwając się na sofę). Aach!

(Zygmunt zbliża się szybko do niej, w tej chwili wchodzi Aleksander — podbiega i chwytając Zygmunta za rękę).

Aleksander. Stać tu!

(Zygmunt staje nagle—mierzą się chwilę wzrokiem. Aleksander podchodzi do Anety).

Aleksander. Pani!

Aneta (drgnawszy). To pan?

Aleksander. Zostałaś pani samą—zabrakło ci tancerza. Zechcesz przyjąć moje ramię.

Aneta (wstaje). Czy muzyka gra jeszcze?

Aleksander. Pani pytasz jak senna...

Aneta. Odurzył mnie wir walca, rozmarzył polonez...

Aleksander. Walec—polonez.

Aneta (drżąc). Czuję dreszcze...

Aleksander. To wszystko walec—polonez!

(Aneta podnosi oczy na Aleksandra i spostrzega stojącego opodal Zygmunta. Odwraca się nagle i podaje rękę Aleksandrowi).

Aneta (szybko). Tańczę z panem!

Aleksander (prowadząc ją). Pamiętaj, pani, że jesteś dobrym duchem Alfa i jego natchnieniem.

Aneta. Dodaj pan—i ofiarę serca...

(Wychodzą).

Zygmunt (sam). Czarodziejsko piękna!
(Muzyka milknie).

(Po chwili wchodzi Baron z talerzem w rękę, na którym leży spory kawał bażanta; ruch ust barona wskazuje, chwilę pożądaną, w której się weźmie do uczyty. Z baronem wchodzi Doktor i Alf, za nimi idzie sluga, niosąc nakrycie, wino i kieliszki. Baron ma na piersi serwetę. Służący nakrywa stół po prawej stronie od widzów nieco wgłębi, bliżej, po stronie lewej Zygmunt zasiada na fotelu lub sofie i wyciągnawszy nogi, patrzy na Barona).

Baron (do lokaja). Prędeż nakrywaj, prędeż!.. a—jaki zapach tego bażanta przedni!.. (do doktora). Powąchaj! (do Alfa). Jadłeś kiedy?

Alf. Przecie bywam u pana barona.

Doktor. A u barona bywając któżby się z bażantami nie zapoznał.

Baron. Co to jednak za szelmostwa ludzkie! Taki piękny ptak! Karmią go, pieszczą, chuchają nad nim, żeby go później do przewodu pokarmowego wpakować (do lokaja). Prędeż. A gdzie Oles? Poproś go tu Alfusi! (Alf odchodzi). Zanim podadzą wieczerzę, tutaj jeszcze bażanta schrupię...

(Wchodzi Aleksander, którego Alf w drzwiach spotkał).

Alf. Pan baron zatęsknił za tobą Olesiu!

Baron. Jest i on—dobrze! Olesiu, nalej mi wina... Siadajcie! a—jak mi dobrze tu z wami... (zajada).

Doktor. I z bażantem, panie baronie.

Baron. Nie dowcipuj, bo się udławię...

Alf (spostrzegłszy Zygmunta). A!.. (idzie do niego).

Zygmunt (wstając). Spotykamy się nareszcie.

Alf (biorąc go za rękę). Niegodziwce, niegodziwce! Gdzieś się po mieście wałęsasz a do mnie ani zajrzysz. Ja zaś tak stęskniłem się za tobą, serdenko, tak się stęskniłem.

(Całuje Zygmunta).

Zygmunt (siada i zapala papierosa). Śpiewasz dawną piosnkę mój stary,—dziś trudno mi uwierzyć w tak nadzwyczajną tęsknotę twoją i miłość.

Alf (wstając). Mówiąc tak, popełniasz grzech śmiertelny Muntku. Wszak wszystkie najpiękniejsze lata moje oddałem tobie, kształciłem twój umysł, serce i talent, byłeś dumą moją, rodzzonego syna nie mógłbym więcej kochać.

Zygmunt. Rodzonym ojcom czasem nie udają się dzieci, a cóż tobie? Cha—cha—cha! Żałuj trudów, mój Alfie!

Alf. Ty taki doprawdy niepocziwy jesteś!.. Mniejsza zresztą, żeś o mnie zapomniał, wy młodzi może o czemś innem, nie o nas starych, do pamiętania macie—ale dla czegoś nic—ja przynajmniej nie wiem—nic po „Kropli Nektaru“ nie napisał? Ta kropła taka śliczna, taka bosko śliczna! Myślałem, że po niej spadnie druga i trzecia, setna i tysięczna, że całe morze rozleje się dźwięków, całe morze niezrównanej harmonii, wydobyte z głębi twojej duszy... Tymczasem?

Zygmunt. Nic!

Baron (wpatrując się idyotycznie w Zygmunta). Kto to taki?

Aleksander. Nie wiem (Baron zaczyna znów jeść).

Alf. Nic—i dla czego nic?

Zygmunt. A ty co napisałeś?

Alf (z uśmiechem). Gdybym i nic, koteczku, nie napisał—to nie dziw się! Chciałem, byś ty przeszedł mistrza, by częściej bijącego od ciebie światła na mnie spadała. Oddając się tobie i innym, pisać nie mogłem—a jednak?

Zygmunt. Jeszcze marzysz!

Alf. Już nie!

Zygmunt. Dałeś za wygraną, rojeniom?

Alf. O, nie!

Zygmunt. Nie rozumiem cię, stary!

Alf. Spytaj Anety, spytaj Aleksandra—oni słyszeli, chwalili bardzo, mówili nawet, że... że...

I mnie się zdaje, że to jest coś dobrego, ale chciałbym, byś ty sam zobaczył, sam zagrał, sam ocenił... (Baron wpatruje się w Zygmunta), lecz ty, jak wiatr, gdzieś bujasz, a mnie tęsknota rwie wnętrzości.

Zygmunt (ponuro). Moja i nie moja może wina w tem, Alfie!

Alf. To młodości wina, wiem o tem! Ale—mój Muntku... Ja nie mam pretensyi... lecz, stary Alf trochę na pamięć twoją zasłużył.

Zygmunt. Pamiętam o tobie.

Baron. Kto to taki?

Aleksander (dobitnie). Konstanty Łaszcz...

Baron. Aha! Konstanty Łaszcz... (je dalej).

Alf (z westchnieniem). Pamiętam — mówił a nie dowiedział się ni razu do mnie, hotel nawet przенiosł nad dom mój, który dla ciebie domem wspomnień najmilszych być powinien. (bierze go za rękę). Muntku, dziecko moje, zamieszkać u mnie! Ja na palcach chodzić będę, gdy każesz, dech zaprę w piersi, gdy zechcesz, bylebym miał cię choć przez dzień jeden, choć przez jedną godzinę!

Zygmunt. Nie żądaj tego, Alfie!

Alf. Jakim ty to głosem mówisz?

Zygmunt. Nie chciej tego, Alfie!

Alf. Nie żądaj, nie chciej! (wstaje). Usuwając się do grobu Alf niepotrzebny już jest nikomu, więc się odsuwają od niego. To zwykła kolej.. bezzdietnych!

Zygmunt (biorąc go za rękę, szeptem). Alfie...

Alf. Chłód wieje od ciebie...

(Stoi smutny z pochyloną głową. Zygmunt patrzy na niego przymrużonemi oczyma. Lokaj zabiera talerz z przed barona, który chwytając go za rękę).

Baron. Poczeka! jeszcze wątróbka została...

Doktor. Zostaw panu baronowi wątróbkę.

Baron. Sam chciał jeść! Jakto na świecie, moi panowie—przedewszystkiem żołądek!

Zygmunt (wstaje i bierze Alfa za rękę). Jutro przenoszę się do ciebie!

(Aleksander szybko się podnosi).

Alf (uradowany). A! jakim ciepłem wionęł mi w serce.. Ty u mnie zamieszkaasz, u mnie.. Muntku, synu mój!

Zygmunt. Synu!..

Aleksander (zbliżając się). Zapamiętaj sobie, panie Zygmuncie to słowo—synu!

Alf. O, on niezapomni!

Baron (wstając). Zapomni — bo rozum ma! (podchodzi).

Alf. Co, panie baronie?

Baron. Największym nieszczęściem świata, jest pamięć. Łajdactwa polityczne, rewolucje ludów, mordy i gwałty, wszystko to jest dziełem pamięci. Wygnaj ją precz, a będziesz szczęśliwy, jak bydlę. Ty panie bydlęciem zostaniesz!...

Doktor (d. s.). Ładny horoskop.

Alf. Co on plecie? (do Zygmunta). Do mnie więc, do mnie... Grać będziesz po dniach całych, zobaczysz wysniony sen mój pod natchnieniem Anety.

Baron (bierze rękę Alfa). Chodź na fajkę — Alfusi.

Alf. Zaraz, panie baronie! (do Zygmunta). Więc?

Zygmunt. Jutro... Sam tego chcesz, Alfie!

(Baron, Doktor i Alf wychodzą).

Aleksander. Panie Zygmuncie, musisz wracać do Paryża—jutro.

Zygmunt (mierząc oczyma Aleksandra). Ja? dla czego?

Aleksander. I ty pytasz—dla czego?

Zygmunt. Wybacz pan, ale dawno z pod pańskiej kurateli wyostałem się.

(Odchodzi).

Aleksander (zatrzymując go). Stój!

Zygmunt (stając). I co?

Aleksander. Odchodzisz z myślą... podł!

Zygmunt. Hola! mój panie!

Aleksander. Byłeś wychowawcą Alfa i—moin!

Zygmunt. Wiele się panu za to wychowanie należy?

Aleksander. Dość! teraz cię poznałem! (odwraca się).

Zygmunt. Nie mogę odejść dopóki się pan nie wytłumaczysz.

Aleksander (zwracając się). Czy wiesz, jak się nazywa ten, który kradnie dobro cudze?

Zygmunt. Przepraszam—mała poprawka! Niech wyjmę pieniądze z kieszeni pańskiej, nazwiesz mnie pan złodziejem, bo pieniądze *sam* do rąk moich nie pójdzie. Tu *ja* tylko mam wolę i wybór. Inna rzecz—tam!

Aleksander. Wykrętna logika podłości...

Zygmunt. Zobopólna tylko wolność czynów...

Aleksander. Zdaje się, że są czyny podlegające pewnym paragrafom prawa karnego.

Zygmunt. Niedobrym jesteś pan prawnikiem: przypuszczany przez pana w kodeksie się nie znajduje.

Aleksander. Jest jeszcze kodeks moralny.

Zygmunt. Jest tysiąc kodeksów moralnych. U Papuasów inny, u wyznawców koranu inny, u nas inny. Ja trzymam się kodeksu Papuasów.

Aleksander. Słuchaj—krótko ci powiem! Skradłeś żonę baronowi—i on zmysły postradał; czyn podobny względem Alfa... byłby....

Zygmunt. Ostrzeż go—przecie przejrzałeś mnie na wylot! Któż ci przeszkadza do niego pójść i powiedzieć: Alfie! twoja ubóstwiana Aneta zdradza cię! Alfie—twój syn przybrany czyha na twoje domowe szczęście. Idź—może ci uwierzy.

Aleksander (śmiejąc się). Uwierzy! Wiesz dobrze, że nie uwierzy ten człowiek osłepiony miłością dla ciebie, ten człowiek bez żółci!...

Zygmunt. Tem lepiej dla niego. Nie uwierzy, a brak żółci goryczą nie zaleje mu ust.

Aleksander. Zgangrenowanem cielskiem czuję cię!

Zygmunt. Nie unos się!

Aleksander. Podłe masz serce!

Zygmunt. Cha—cha—cha!

Aleksander. Idź precz!

Zygmunt (z mocą). To ty nie wierzysz w uczciwość?

Aleksander (z ironią). Ja?

Zygmunt. Kto ci powiedział, że tak łatwo byłoby mi zniewolić Anetę?

Aleksander. Wiesz dobrze, że ona dziś jeszcze kocha cię!

Zygmunt. Ale ty nie wiesz, że podobnie tobie kazała mi pójść precz; że dlatego tylko nie jestem w domu Alfa; że dlatego tylko jestem—tu!

Aleksander. Aaa!

Zygmunt (schylając głowę—z ironią). Nikomu skarbow nie wykradam, biorę—gdy przychodzą same!

(Odwraca się do wyjścia i spotyka Baronową).

Baronowa. Zniecierpliwiałam się, będąc tak długo bez ciebie.

Zygmunt. Miałem dysputę z panem Aleksandrem—wczas ją przerwałem.

Baronowa. Wróg mój nieubłagany!

Aleksander. Pozwoli pani na chwilkę rozmowy?

Baronowa. Domyślam się jej treści... Zostaw nas, panie Zygmunciel!

(Zygmunt wychodzi).

Aleksander (gorączkowo). Nie puszczaj go pani z objęć swoich, przykuj go łańcuchem wspomnień, siłą swojego uroku, potęgą wdzięków, wszystkimi czarami czarów, jakie masz w sobie!...

(Wychodzi szybko).

Baronowa (patrzy zanim zdziwiona). To on mi mówi? Aa! zawiódła go widać ostatnia próba, należąca odprawę dał mu Zygmunt i pan Aleksander bezsilny się uczuł... (Wpada w śmiech szalony).

(Słychać muzykę grającą zawrotnego walca. Wbiega Zygmunt—Baronowa podbiega ku niemu).

Baronowa. Wir—taniec—szal!.. (Rzuca się mu w ramiona). Szaleję, szaleję za tobą!

Zygmunt. Co ci jest?

Baronowa. W płas, w płas, w płas!... aż do utraty pamięci!

(Wybiegają).

(Z prawej strony wchodzi Doktor, z lewej wbiega jedna z Tancerek).

Tancerka. Na miłość Boga, doktorze, wszystkie pary wirują. Stary Alf nawet przysiadł do ziemi w walcu, a mnie tancerza zabrakło... Proszę pana!

Doktor. Pani dobrodżiko ja nigdy w życiu nie tańczyłem...

Tancerka. Czyż to trudno—patrz pan: raz—dwa—trzy...

Doktor (próbując). Raz... dwa... trzy...

Tancerka. Doskonale! Allons!...

Doktor. Jak panią dobrodżikę szanuję mogę upaść...

Tancerka. Mniejsza o to! choć przez pół sali przebiegniem.

Doktor. Sprobujmy! ale mi się zdaje, że od progu nie pomknę).

(Wychodzą—za progiem zaraz słychać upadek i śmiech kilkunastu głosów).

(Doktor wchodzi).

Doktor. A mówiłem! Raz—dwa... i jak długi rozciągnąłem się na ziemi...

(Wbiega Tancerka).

Tancerka. Bodaj pana! (siada, wachlując się).

Doktor. Ostrzegałem, pani dobrodżiko, (siada przy niej).

Tancerka. Jak można było tak nogą zawinać?

Doktor. Nie byłoby wypadku, gdybym piętą o piec nie zawadził.

Tancerka. I tak od razu!

Doktor. Piorunem—ale ja tak zawsze!

(Wbiegają Tancerze i Tancerki).

1. **Tancerz.** Nie pamiętam, ażebym kiedy tak hulał! (ociera pot z czoła).

1. **Tancerka.** Al! tchu mi brak! (rzuca się na sofę).

2. **Tancerka.** Już to baronowa umie urządzać zabawę!

3. **Tancerka.** Przyznam się jednak, że urok balu psuje mi widok barona.

2. **Tancerka.** Idyota!

4. **Tancerka.** A jak on się głupio śmieje!

3. **Tancerz.** Dawniej śmiał się inaczej!

2. **Tancerka.** A czyś pan zauważył, jakie on ma czasem niebezpieczne błyski w oczach?

3. **Tancerz.** To tylko wtedy, gdy spojrzę na swoją żonę.

2. **Tancerz** (półgłosem). Zostającą w objęciach pana Zygmunta.

2. **Tancerka.** Co pan szepnął?

Doktor. A jaka pani ciekawa?

2. **Tancerka.** A jak pan zgrabnie tańczy! (śmiech).

Doktor. Ostrzegałem—ale... na drugi raz za to...

Tancerka (zrywając się). Dziękuję—dziękuję!

1. **Tancerka.** Taniec tylko nie służy pani Anecie. Uważaliście państwo, jak podczas ostatniego walca była błada

1. **Tancerz.** A uważaliście państwo, jak nie spuszczała oczu z pani baronowej?

3. **Tancerka.** Patrzyła na jej brylanty.

1. **Tancerka.** Bo też co za ognie od tych brylantów biją!

2. **Tancerz.** Panowie i panie—nie traćmy czasu! Walc się tak rozkosznie kołysze, szmer par

tańczących, aż tu z dalekich dolatuje salonów, kielichy krażają... (słychać krzyki). O, słyszycie!

Głosy (przerażenia za sceną). Wody! wody!

(Wszyscy zrywają się—wbiega Baron).

Baron (trzymając się za głowę). Krew! krew!

Głosy kilku obecnych. Co to?

Doktor (podbiegając). Co panu?

Baron. A—tak!

(Wbiega Aleksander z szklanką wody).

Doktor. Bryzgnij mu pan na czoło!

(Spłoszeni tancerzy wychodzą).

Baron (rwąc kołnierzyk). Dusii... dławii...

Doktor (bierze szklankę z rąk Aleksandra). Kropelę...

Baron (wypiwszy kropel kilka—oddycha). Aaa!

Aleksander. Jak się czujesz, Romanie?

Baron. Lżej... A! te strojenie skrzypiec... te struny, te struny!

Aleksander. Żadużo piłeś—krew ci uderzyła do głowy!

Baron. Kręcili się w kółko, w kółko, w kółko, a mnie się zdawało... Co to mnie się zdawało, Aleksandrze?

Aleksander. Nic ci się nie zdawało.

Baron. Prawda—nic mi się nie zdawało...

Doktor. Niech pan baron raczy już na spoczynek się udać.

Baron. Niech pan baron raczy na spoczynek się udać.

Aleksander. Chodź ze mną.

Baron. Dobrze... Ale zdaje mi się, że ja nie jeszcze nie jadłem...

Doktor. Każę panu przynieść wieszak.

Baron. Dobrze... A! jak mnie łeb strasznie boli!

Aleksander. To przejdzie! wywezasuj się tylko.

Baron. Okrutnie chce mi się jeść, Aleksandrze.

(Doktor—Baron—Aleksander wychodzą).

(Po chwili wchodzi Aneta i Alf. Aneta biała, idzie, tuląc się, oparta o ramię Alfa).

Aneta. O, Alfie!

Alf. Co tobie, Neto moja?

Aneta. O, Alfie!

Alf. Uważałem, koteczko, że pobladłaś, właśnie kiedy Muntek z panią baronową tańczył... Ty drgnęłaś? Może chcesz iść już do siebie?

Aneta. Dobrze... dobrze... Chcę iść do domu... do—siebie.

Alf. Zostań więc tu na chwilę, Neto—pożegnaj tylko baronostwo i wróć zaraz.

(Wychodzi).

(Wchodzi Zygmunt, a widząc ślaniającą się Anetę, zatrzymuje się w pół pokoju. W drzwiach staje Baronowa. Patrzy na Anetę to na Zygmunta).

Aneta. Jaki mam zawrót głowy! jak mi coś w sercu pęka!

Zygmunt (z wyrazem radości). Aa!

Baronowa (z wyrazem trwogi). Aaaa!

Aneta. Kochać... i nie móżdż kochać!

(Zygmunt podbiega do Anety i chwytą ją za ręce).

Zygmunt. Nie odtrąć, a wróć do ciebie po utracone wspólne szczęście!

(Aneta jak senna, pochyla się ku ziemi, Baronowa wpada wśród nich).

Baronowa. Precz! dom mój nie jest miejscem wyznań miłosnych.

Zygmunt (krótko). Ty?

Aneta (przychodząc do siebie—mierzy baronową oczyma. Po chwili—z dumą). Zapominasz się pani—nie jestem tobą!

(Wychodzi).

Baronowa (wpada w śmiech spazmatyczny). Cha—cha—cha—cha—cha! nie jestem tobą! A czym—że to ty jesteś?... a wiesz—że ty czem jutro może będziesz?...

Zygmunt (robi krok do niej). Matyldo!

Baronowa (cofając się). Nie znam pana!

Zygmunt. Przebacz zapomnienia chwilę...

Baronowa. Idź—pomścij mnie! Czy słyszysz? Wpij się w jej serce, pierś, usta—rozbudź wszystkie zmysły i pożądanja—a później... w błoto ją rzuć!

Zygmunt (patrząc w ziemię). Okrutna jesteś!

Baronowa. Zechcesz pan teraz opuścić próg tego domu! (Pauza. Zygmunt podnosi oczy na baronową). Czy zapomniałeś którędy wyjście? (Zygmunt coraz bardziej wyprostowuje się). Służba moja poświęcić panu może!...

Zygmunt (powoli). Idę.. idę bez żalu i—bez powrotu!

(Wychodzi).

Baronowa (sama). Poszedł—bezwiedne narzędzie mej zemsty! Ha! Słyszę szmer pocałunków, widzę dumę uginającą się pod płomieniami ognia!... Szczerniejesz ty posagu białej, i ja ci rzucę w oczy wzgardy śmiech!...

Koniec aktu trzeciego.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— Komitet budowy pomnika Mickiewicza z wysokim zadowoleniem może donieść, że cokolwiek granitowy pomnika jest już całkowicie ustawiony i że w d. 17-ym b. m. o g. 12-iej w południe stanął na nim posąg Mickiewicza, przyjęty przez komitet z ogólnym uznaniem. Przy ustawianiu figury obecny był twórca pomnika, p. Cypryan Godebski.

— Magistrat wystąpił do władzy wyższej o zatwierdzenie warunków, ułożonych po porozumieniu się ze składnikami węgla, oraz o upoważnienie do ogłoszenia licytacji na trzyletnią dzierżawę placów miejskich na placu Broni pod składy węgla, oraz materiałów budowlanych jak: drzewo, wapno, cement i t. p.

— Zarząd kolei Warszawsko-Petersburskiej, jak pisze „Warsz. Dniew.“, zaprowadził w pociągach osobowych usługę kobiecą, której obowiązkiem jest nadzór nad porządkami w wagonach i ubieralniach. Placę kobiety pobierają w ilości rb. 10 miesięcznie, z których zarząd straca częściowo za umundurowanie, mianowicie za fartuch i czepek rb. 1 i za ubranie 7. Kobietom dozwolono mieć w pociągach herbatę z cytryną lub mlekiem, lecz bez zakąsek, każda posiada zapas ręczników i mydła, których dostarcza na żądanie podróżnych za opłatą po kop. 10 i obowiązana spełniać różne posługi w wagonach, jak i w oddziałach damskich, do których konduktorzy mają wstęp wzbroniony. Większość obsługi kobiecej należy do mieszkanek m. Wilna.

— Komitet Towarzystwa zachęty sztuk pięknych otrzymał od goszczącego w Warszawie artysty rzeźbiarza, Cypryana Godebskiego, pismo następujące: „Do Szanownego Komitetu Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Królestwie Polskiem. Żywo współczując rozwojowi naszej sztuki rzeźbiarskiej, mam zaszczyt prosić komitet Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Królestwie Polskiem o pozwolenie wystawienia w salach swej wystawy prac rzeźbiarskich,

przeznaczonych na konkurs, który pragnę urządzić, a który ma być rozstrzygnięty w d. 31-ym Grudnia 1898 r. Przeznaczam 500 rb. na nagrodę, a względnie na dwie nagrody: w sumach 350 i 150 rb. za najlepszą pracę lub prace rzeźbiarskie, do d. 15 Grudnia r. b. nadesłane, w gipsie lub terrakocie wykonane, zostawiając temat ich uznaniu panów rzeźbiarzy. Upraszam zarazem członków komitetu, pp.: Badowskiego—Benniego,—Goebła,—Hermana,—Ryszkiewicza i Wrotnowskiego, aby raczyli przyjąć na siebie obowiązek sędziów konkursu. Z wysokim poważaniem Cypryan Godebski.“

— Na ostatnim posiedzeniu komitetu tow. przeciwzbraczego postanowiono projekt kasy przezorności pomocy dla oficyalistów Towarz. opracowany przez komisję, przedłożyć walnemu zgromadzeniu do zatwierdzenia. Sprawozdanie z wystawy retrospektywnej wykazuje dochodu 9216 rb.; wydatki wynosiły 5621 rb.; czysty dochód zatem przeszło 3000 rb. Następnie zatwierdzono budżet, który został wniesiony na ogólnem zgromadzeniu. W końcu uchwalono instrukcję dla przytułku w Czerniakowie dla biednych dziewcząt.

— „Warsz. Dniew.“ donosi, że w ubiegłą sobotę za rogatką Mokotowską, przy moście Wilanowskim odbyło się uroczyste otwarcie studyów nad linią kolejową Warszawa-Kalisz, podjętych przez pułkownika generalnego sztabu Tyzenhauza. Na uczcie, jaka się odbyła następnie w Marcelinie, przemawiali: generał-lejtnant Komarow i podpułkownik Hurko, wyjaśniając znaczenie nowej linii pod względem ekonomicznym i strategicznym. Robotami kierować będą inżynierowie; W. Rudnicki, Dobrowolski i Matwiejew. Studya te podjęte będą niezależnie od prowadzonych przez kolej Wiedeńską

— Mieszkańcy willi, położonych w bliskości Kijowa, zwrócili się do ministra komunikacji z zażaleniem na ciągły niepokój, powodowany wrzaskliwymi świstawkami przebiegających w pobliżu lokomotyw pociągów kolejowych. Ks. Chyłkow na skargę tę zwrócił uwagę, przesyłając ją, celem poczynienia odpowiednich rozporządzeń, do departamentu dróg żelaznych. Wskutek tego departament uznał za potrzebne przedsięwziąć następujące środki: 1) zabronić nawoływania na stacjach robotników i służby pociągowej świstawkami lokomotyw, dopuszczając zastosowywanie świstawek jedynie w razie sygnalizowania niebezpieczeństwa; 2) zakomunikować zarządom dróg żelaznych, ażeby zobowiązały służkę parowozów do nienadużywania świstawek, a mianowicie, ażeby nie dawano bezpotrzebnie zbyt przeciągłych sygnałów nietylko podczas jazdy na linii, lecz nawet przy manewrach i 3) przedstawić do rozstrzygnięcia ministra komunikacji kwestyę zaprowadzenia na parowozach, zamiast dzisiejszych wrzaskliwych świstawek, świstawek zwyczajnych, niezbyt głośnych. Inowacya ta spowoduje wydatek około 25 rub. na jeden parowóz.

MYŚLI.

Bądź tą przegraną, której cel daleki
A która w końcu wygrywa na wieki.
Z. Krasinski.

Ze zdarzeń powodzi,
Po nad klęsk otchłanie—
Niezrodzone się narodzi
Sprawiedliwość wstanie.

Tenże.

Dysonanse są połową życia.

Tenże.

Co prawdą—to musi być na jasnią wyrwanem
i promienie słońca wytrzymać.

Tenże.

Póki jesteśmy młodzi, wszystko jest przed
nami.

J. Słowacki.

Ludzie tak dziwnie stworzeni są od Boga, że
zawsze przywiązują się do tego słowa: ja..
oprócz kobiet, które przywiązują się czasem do
słowa: mój.

Tenże.

Wierz, że uczucie spali, czego myśl nie złamie.
A. Mickiewicz.

Niejedno dobre imię przyćmione, skalane, za-
tracone zostało z powodu nędznej próżności.

Balmés.

Nie ma przyjaźni tylko pomiędzy podobnymi
sobie istotami.

Plato.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza
się: ark. 19-ty powieści, p. t. *Spadkobiercy*, przez
autorkę „Za cudze winy.“ Przekład Z. S.

OD WYDAWCY.

„Bluszc“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasowymi warunkami
Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenu-
meraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Treść: Po latach, przez Leona Płoszowskiego.—Cesarzowa Elżbieta, przez Szczęsną.—Pogawędka, przez ??—Typy i sylwetki nie-
Kazimierz Gliński. Arcydzieło, dramat w pięciu aktach (dalszy ciąg).—Z bieżącej chwili.—Myśli.

Dodatek obejmuje: *Spadkobiercy*, powieść, przez autorkę „Za cudze winy,“ arkusz 19-ty. Przekład Z. S. — Przegląd mód. 24 wzorów
i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycye obiadu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow.—Przedmieście Nr. 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 16 Сентября 1898 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.